



JAN MACIEJEWSKI

W K O N T R A P U N K C I E

SŁOWA: AGNIESZKA OSIECKA

Był taki czas, niedługi, ale jednak się zdarzył, kiedy najważniejszym gatunkiem literackim okazała się piosenka. Trzy, najwyżej cztery dekady, od połowy XX wieku do lat 80. – tej strasznej chwili, w której powstała MTV, obraz odebrał muzykę słowom, podporządkował ją sobie bez reszty, wyśpiewywane frazy sprowadzając do rangi onomatopei. Ale zanim świat zaczął tańczyć – śpiewał. Melodia zaciągnęła się na służbę u języka, stając się jednocześnie najwierniejszym z tłumaczy.

Nie trzeba przecież znać rosyjskiego, żeby się domyślić, o czym opowiada „Obława” (a może właśnie dopiero wtedy można ją zrozumieć); jeszcze zanim Wojciech Młynarski przetłumaczył „Piosenkę starych kochanków”, nucił ją pod nosem każdy, w którego życiu powtarzały się w kółko „kłótnie, schadzki, przeprowadzki”. Literatura po prostu swoje ostatnie słowo postanowiła wyśpiewać. Ten nigdy niepodpisany piosenkowy sojusz miał zasięg globalny. Ameryce Północnej dostali się Cohen i Dylan, Rosji – Okudźawa i Wysocki, Francji – Brel i Aznavour, a nam – Jacek Kaczmarski i Agnieszka Osiecka. To o niej dzisiaj dwa słowa.

Prawda, serial TVP „Osiecka” sprawia długimi fragmentami wrażenie, jakby na planie zabrakło reżysera, a z ust aktorów

zamiast kwestii wydobywa się często szelest papieru. No i co z tego? Jakie to ma znaczenie, skoro życie Agnieszki Osieckiej nie tyle nadaje się, ile wręcz domaga ekranizacji z co najmniej dwóch powodów. Zostawmy na boku pierwszy, nasuwający się sam, argument z życia uczuciowego poetki, gdzie w pierwszoplanową rolę męską wcielali się aktorzy z tak różnych teatrów, jak Marek Hłasko, Jeremi Przybora czy Daniel Passent. Co innego liczy się dużo bardziej. Fakt, że łatwiej byłoby wymienić ważne dla polskiej kultury ostatnich kilkudziesięciu lat osoby, które przez to życie się nie przewinięły, niż te, które odegrały w nim mniejszą lub większą, choćby epizodyczną czy gościnną rolę. Może i była, jak sama o sobie mówiła, człowiekiem z drugiego rzędu. Ale czy w pierwszym siedzieli Polański, Wajda i Komeda, Kobiela i Cybulski, Olga Lipińska, Maryla Rodowicz i Seweryn Krajewski czy Jerzy Andrzejewski, Zbigniew Mentzel i Jerzy Giedroyc, wszyscy oni czuli na plecach oddech Agnieszki Osieckiej. Ostatnie tchnienie literatury – piosenkę.

Literatura żyje – a nie tylko wegetuje na półkach – wyłącznie w określonych warunkach klimatycznych. Trzeba do niej dwojga, pisarza i czytelnika. Może i ten pierwszy prowadzi, ale pod nieobecność drugiego, jego uwagi

i oddania, będzie się szamotał samotnie po parkiecie, zmęczy się i wygłupi. Pierwszy apel do czytelników pochodzi jeszcze z kart Ewangelii: płaczcie z tymi, którzy płaczą, śmiejcie z tymi, którzy się śmieją. Każdy czas i miejsce dostaje sobie właściwą, dokładnie odliczoną liczbę dusz, których głównym życiowym zadaniem jest na zmianę płakać i tańczyć. Poślanych między deszczowe wtorki, które przyjdą po niedzielach. Frazy Agnieszki Osieckiej były pod tym względem literaturą bardziej niż zdania jakiegokolwiek napisanej w XX wieku polskiej powieści.

Towarzyszyły nastolatkom z ulicy Kamiennej, tramwajem jeżdżącym w podróż, kobietom będącym, proszę pana, na zakręcie czy mężczyznom, którzy próbują się domyślić, co też ten facet zrobi z ich butami i lampą, kiedy ich już nie będzie.

Niewiele było wśród tych piosenek takich, które nudziły się, podpierając ścianę. Z życiem wielu ludzi robiły to samo, co pokrętko umieszczone pod ekranem anachronicznych telewizorów. Wyostrzały obraz, nawet marnej fabule dodawały nowego blasku. I jak kandydatów do miana tego, który napisał ścieżkę dźwiękową ostatnich kilkudziesięciu lat nad Wisłą, byłoby paru, to tak czy inaczej wiadomo, że słowa do tych melodii napisała Agnieszka Osiecka. ☺